ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Czerwca. № 25. Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. N. 23. 24. Rozmaitości.)

Z początku niepoznawałem prawie sam siebie. Wiadra przelatywały ciągle z nadzwyczajnym pośpiechem, a ja niemając jeszcze wprawy w téj mierze trącałem każde tak niezgrabnie, że woda ochlupywała mnie całego, z wielką szkodą mojéj toalety. To mię wielce martwiło, gdyż miałem ciągle jeszcze zamiar pójść do kasyna. Chciałem zdjąć moje rękawiczki, ale były tak przemoczone, że musiałem zaniechać tego zamiaru, a zresztą niebyło nawet czasu na to. Stałem na wybrzeżu przy samym końcu łańcucha u stopni wiodących do rzéki. Tu mimo najdotkliwszego zimna stali ludzie w bluzach aż po kolana w wodzie, i przy świetle pochodni napełniali bez ustanku wiadra, które podawane z pochyła stojącym wyżéj towarzyszom. wyrzucały napowrót część wody na tych co ją czerpali. Obok mnie stało najwięcéj kobiét różnego wieku, ale po największéj części niższego stanu, resztę zaś łańcucha tworzyli rzemieślnicy, ludzie najemni i kilku panów. Jakkolwiek byliśmy dość oddaleni od pożaru, zanosił wiatr aż do nas chwilowy dészcz ognisty, który powiększał jeszcze wrażenie téj okropnéj sceny.

Przed chwilą jeszcze. znieważony i rozgniéwany, niemyślałem o niczém inném, jak tylko by dostać się co prędzéj do kasyna i zapomnąć tam o zniewadze wyrządzonéj memu honorowi; ale zaledwie zostałem wciągnięty do tego nowego koła, myśli moje przybrały inny kierunek, i pomimo zimna, wilgoci i odrazy, zapomniałem o sobie pod wpływem tych porywających i żywych wzruszeń. których silny urok nieznany mi był dotąd. Jakiś rodzaj braterstwa oparty na wspólnéj potrzebie, popęd roboty i ta świadomość, że można stać się użytecznym, rodziły do koła serdeczną wesołość, która objawiała się co chwila w niewinnych żartach śród dowodów najszlachetniejszego poświęcenia.

— „Ot wiecie co, poczciwa kobiéto. puśćcie mnie na wasze miejsce, a przejdźcie do próżnych wiader.“

— „Daj pokój, przyjacielu; ja praczka, moje ręce przywykły do wody...,..“

— „Ho, ho! białe rękawiczki; te pewno nie na ten bal się wybrały! Może się pomieniamy?...“

— „Dziękuję ci, przyjacielu; ja dopiéro zacząłem.“

— „Daléj, żwawo, przyjaciele; to zaprawia rękę. Do kata! pani praczko! nasze koszule upierą się bez ciebie; mój półkoszulek już namoczony. Ale mniejsza o to. Daléj naprzód! raz, dwa! w prawo, w lewo!“

Nadchodzi jakiś uczciwiec.

— „Masz pragnienie?“ — rzecze do mnie.

— „Napiłbym się, mój przyjacielu, ale pierwéj pokrzep moich sąsiadów a przedewszystkiém tę zacną kobiétę, która pracuje dłużéj ode mnie.“

— „Nie, nie! pij pan, pij bez ceremonii.“

I wypiłem najsmaczniejszą szklankę wina w mojém życiu.

Oddając się w ten sposób zupełnie tym nowym dla mnie wrażeniom, uczuwałem powoli jakiś rodzaj szacunku dla tych mężów w bluzach, których niezmordowanéj, ciężkiéj pracy mogłem się przypatrzyć przy blasku pochodni. Ci nieśli usługi swoje bez wszelkiéj pretensyi osobistéj, jedynie z czystego zapału, z chęci ratowania bliźniego, z prostego lecz szlachetnego poświęcenia robotnika, który sam zbyt mało waży swoją przysługę. Ci niemogli ani rozmawiać, ani brać udziału w powszechnéj wesołości panującéj w naszych szeregach; dla nich niebyło ani wspaniałego widoku pożaru, ani podziwiającego uznania tłumu. Dziś myślałem sobie — śród ciemności nocy, spełniają ci zacni ludzie najmozolniejsze dzieło; jutro, o wschodzie słońca wrócą nieznani na poziome swe stanowisko w społeczeństwie.... I jakiś święty szacunek, jakiś zapał podziwienia, jakaś głęboka wdzięczność i uwielbienie opanowały nagle me serce z taką siłą, że byłbym chętnie ukląkł przed nimi; i byłem nierównie dumniejszy z tego, że im pomagam, niż kiedykolwiek z uśmiechu panów, z pochlebnego przyjęcia magnatów. W téj chwili przypomniały mi się powozy, które spotkałem tego samego wieczora w przejeździe do kasyna: myśl ta obudziła we mnie największą pogardę a oraz jakiś rodzaj nieznanéj mi dotąd radości, że nieprzeniosłem tak jak tamci dla dogodzenia swemu samolubstwu jałowego towarzystwa próżniaków nad wzruszające braterstwo praczek i robotników.

Widzisz więc, czytelniku, żem zmienił zupełnie rolę. Z wygodnisia przesyconego i znudzonego, którego znałeś pierwéj, z panicza, co chciał przypatrzyć się pożarowi jak ciekawemu widowisku, z próżniaka skarconego szyderstwem gminu, stałem się w sposób dość zabawny dla ciebie, który czytasz moją historyę, jednym z najgorliwszych robotników i najsurowszym karcicielem wszystkich tych, którzy uwijali się koło mnie nieprzykładając ręki do dzieła.

— „Héj! dobrodzieje“ — wołałem na nich — „prosimy bliżéj! Panowie, tu jest miejsce, stawajcie do linii. Gbury! Ci poczciwi ludzie mokną już od sześciu godzin w wodzie, a wy stoicie z założonemi rękoma? Héj! sierżancie, kolbą

tych próżniaków! Proszę pani, nie hańbaż to? A ty panienko, odejdź ztąd na miłość Boga: pani drżysz cała, twe ręce za słabe do takiéj pracy.“

Młode dziéwczę, które zagadnąłem w ten sposób, stało naprzeciw mnie. Z początku niespostrzegłem jéj śród zamieszania i ciemności; ale gdy wzmagająca się łuna pożaru dozwoliła rozróżnić twarze, zaczęły jéj rysy, jéj młodość i białość delikatnych rączek ściągać powoli na siebie moją uwagę, równie jak i słodki wyraz politowania błyszczący w jéj oczach, ile razy zwróciła je ku płomieniom. Nieznacznie wszystkie te wrażenia, które opisałem, zmieszały się z jakiemś dziwném uczuciem, jakiego doznawałem na widok téj pięknéj, młodéj dziewicy, użyczającéj swéj wątłéj ręki do tak ciężkiéj pracy. Patrzałem na nią z najtkliwszém politowaniem, a chociaż współczucie to natchnęło mię właśnie radą, ażeby się oddaliła, czułem jednakże, że nieobecność jéj pozbawiłaby mię słodkiego zachwycenia, i że bez niéj cała ta scena, w któréj niespodzianie znalazłem tyle żywych wzruszeń, straciłaby dla mnie swój urok.

Zmieszana moją odezwą, odpowiedziała zaledwie kilka słów, z których się dowiedziałem, że oczekuje swéj matki, by się z nią oddalić; i widać było, że z wrodzonéj wstydliwości wolała pozostać raczéj, niż iść sama śród nocy lub powierzyć się piérwszemu lepszemu z otaczających ją mężczyzn. Tymczasem przejmowało ją zimno coraz bardziéj, i już sąsiedzi zaczynali spostrzegać, że osłabione jéj ręce niemogły podołać natężeniom szeregu. Co widząc jeden z nich, ten sam któremu najpierwéj wpadły w oczy moje białe rękawiczki, rzekł do niéj z wyrazem współczucia:

— „Biedne dziécię, zostaw to naszym rękom. Idź ogrzać się do domu. Czy chcesz, żebym cię odprowadził? Kto zajmie moje miejsce?“

— „Zastąpcie mię?“ — zawołałem — „ja ją odprowadzę.“

— „Bardzo dobrze, biała rękawiczko. Szczęśliwéj podróży! a my daléj do dzieła. Baczność szeregowce! Naraz dwa rzuty! Nasz smok czerwony wypił już tyle, że mógłby ugasić swe pragnienie. Brawo! matko Babetto: wam należy się krzyż legii honorowéj. Gdy poczwara pęknie, wam to podziękujemy. Niuch tabaki i daléj do roboty!“

Podczas gdy głośny śmiech towarzyszył wesołym żartom tego poczciwca, ja ująłem skośniałą rękę młodéj dziewczyny i oddaliłem się z tego miejsca ciemnemi ulicami, gdzie niedochodziła już łuna pożaru. Byłem w stanie tak słodkiego roztargnienia widząc się jedynym opiekunem téj lubéj istoty, żem zapomniał całkiem zapytać ją o miejsce jéj pomieszkania, gdzie przecież chciałem ją zaprowadzić. Ona zaś postępowała śpiesznie naprzód, ale wkrótce zaczął wolnieć jéj krok, a w końcu stanęła jak gdyby brakło jéj siły. Niemogłem wcale rozróżnić, czy był-to skutek wzruszenia, czy téż osłabienie z gwałtownego zimna; musiałem jednak wesprzeć ją jedną ręką, a drugą zdjąwszy płaszcz z siebie zarzuciłem go na jéj ramiona,

niezmiernie uszczęśliwiony tém, że mogłem zrobić z niego tak miły użytek. W kilka minut potem biédne dziéwczę zebrała wszystkie siły i rzekła do mnie młodym, drżącym głosem, którego dźwięk przenikał moje serce:

— „Panie, wątpię już, bym zdybała moją matkę; dlatego dozwól mi odejść saméj....“

— „Na to niemogę zezwolić“ — odrzekłem — „jakkolwiek nieradbym stać się natrętnym. Pani jesteś słaba, i niemogę opuścić cię pierwéj, dopókąd niebędziesz w domu, otoczona staraniem, na jakie zasługujesz. Tymczasem chciéj pani powierzyć się mojéj opiece; twoja młodość obudza we mnie zarówno szacunek i współczucie....“

Na to nieodpowiedziała ani słowa i szliśmy daléj w milczeniu. Czułem, że ręka jéj drżała w mojéj, i że pomieszanie wstydu przyśpieszało jéj kroki. Gdyśmy przybyli do pewnéj bramy, ujęła swoją rękę.

— „Oto jesteśmy na miejscu;“ — rzekła — „dziękuje panu.....“

— „Ale czy pani zastaniesz matkę lub kogokolwiek?“

— „Matka moja powinna nadejść wkrótce; przepraszam pana....“

— „Pozwól mi pani zapewnić się przynajmniéj, gdyż w téj chwili, zdaje mi się niéma nikogo w domu, a nawet w całém sąsiedztwie niedostrzegam żadnego światła. Chciéj pani iść przodem. Nierównie przyzwoiciéj będzie, gdy panię oddam w ręce matki, niż gdyby się dowiedziała, że jakiś nieznajomy cię odprowadzał.“

Gdym tak mówił, bojaźliwe dziéwczę, spostrzegłszy kogoś przechodzącego, weszła śpiesznie do bramy, a ja za nią. Nieśmiałem już w tém ciemném miejscu ani podać jéj mego ramienia, ani téż zbliżyć się do niéj; ale gdy na zakręcie schodów potknęła mi się noga, wyciągnęła moja przewodniczka mimowolnie rękę ku mnie. Pochwyciłem ją z wyrazem najczulszéj wdzięczności i doznałem przytem tego żywego zachwycenia, które zdaje się być zwiastunem prawdziwéj miłości, a czego nieznalazłem nigdy jeszcze pośród sztucznych uczuć i grzeczności wielkiego świata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. Rozmaitości.)

Scena 2. (Ciąg dalszy.)

Basia *(głośno).*

Tyś anioł, i przewrotność dla cię niepojęta!
Masz racyą: jeźli dusza miłością przejęta
Zdolną jest wskrzesić czucia umarłe w przesycie:
Ożywi go, odrodzi, twego serca bicie!
Lecz Lidio, i poświęceń najświętsza potęga
Ma jednak swe granice, za które nie sięga!
Sądź sama: czyli może nawet anioł ziemny
Powrócić zacność temu, kto raz był nikczemny!

Lidia *(przerażona).*

Nikczemny?

Basia.

Tak, nikczemny! Kto jak przeniewierca
Nie wahał się z rachuby chcieć zgubić dwa serca;
Kto, przed tobą, aniołem dobroci, czystości,
Nie wahał się wykłamać tych przysiąg miłości,
Któremi w tymże czasie chciał olśnić i inną!...

Lidia.

Inną?

Basia.

Komu zabawką miłą i niewinną
Zdawało się, rozmarzyć duszę młodocianą
Ułudnéj mowy sztuką; kto od jednéj rano
Wyrwane słowo serca, wnet w wieczornéj dobie,
Myśląc tém drugie względy zabezpieczyć sobie,
Innéj, w dowcipnie gminnéj przynosił ofierze?....

Lidia.

Innéj?

Basia.

Tak! innéj, drugiéj!

Lidia *(gwałtownie)*.

A ja ci nie wierzę!
Dość tego! Za mą miłość czułą i siostrzaną,
I łzami uwiedzionéj wdzięczności oblaną,
Błogosławioną w zwierzeń najświętszych słody-
(czy,
Ty dajesz mi truciznę! Téj chwili goryczy
Niech ci Bóg nie pamięta! Ja z prawa cierpienia
Nie chcę twojéj przyjaźni, ni siostry imienia!
Siostra miałaby dla mnie, o! choćby łzę jedną!
Ty zabijasz z krwią zimną!
(z płaczem)
Możnaż być tak biédną?
Lecz nie, ja jego kocham!
(z pogardą)
A tobie, nie wierzę!

Basia *(na stronie)*.

Gniewa się; ale nie wié, że i mię złość bierze!
Gdym zła, dopnę wszystkiego.
(głośno)
Lidio! Lidio luba!
Jam winna!

Lidia *(z radością)*.

Więc to wszystko była tylko próba?

Basia *(smutnie)*.

Jam winna, lecz nie dzisiaj! O! słuchaj aniele!
Nie ty, a ja zgrzeszyłam, zawiniłam wiele
Mą skrytością przed tobą!
(po chwili milczenia z wysileniem)
Ta druga, ta inna: —
Ja nią jestem!

Lidia *(przerażona)*.

Ty?

Basia.

Czuję, żem była powinna
Dawniéj wszystko ci odkryć.

Lidia *(jak dawniéj)*.

Ty? ty?

Basia.

Przebaczenia!
I ja z początku miałam ufności złudzenia!
I ja byłam olśnioną!

Lidia.

O! ja oszaleję!

Basia.

Ach! Ja już przechodziłam te straszne koleje
Odczarowań z najświętszych i pojęć i wiary!
Nareszcie znikły ułud i ufności mary!
Była chwila rozpaczy, straszna, niewymowna,
Któréj ledwo twa boleść dzisiejsza wyrówna,
Kiedy ujźrzałam jego zabiegi szalbiercze
Koło ciebie i przy mnie.

Lidia.

O! serce me, serce!

Basia.

Dziś choć jeszcze boleję, lecz zimno spoglądam,
I mówię ci, kto Henryk; bo cię zbawić żądam!

Lidia *(na stronie)*.

Boże! Boże! Ja skonam!
(głośno, z obojętną boleścią)
Patrzę na cię pani
Jak na obcą, i taką pragnę zostać dla niéj!
Gdybyś to była dawniéj przed siostrą wyznała,
Cierpiałabym zapewne, ale i ufała:
Dziś męczę się okropnie! Przyznać się nie wsty-
(dzę,
Lecz wierzyć nieprzyjaźni, przyczyny nie widzę.
Pewno do takich kroków ma pani powody;
Nie badam, lecz nie wierzę: gdzież na to dowody?

Basia.

Dowody?

Lidia.

Tak, dowody!

Basia.

Więc mych wyznań słowa
Bolesne, nic nie znaczą?

Lidia.

Rzecz to dla mnie nowa!
Ja nawet w gorzkich smutków i zniechęceń dobie,
Nie mogłam takich brudów wyobrazić sobie!
Jeżeli życie takie, to i żyć nie warto!
Lecz dopóki mam siły, to duszą rozdartą
I sercem zakrwawioném, i myślą stroskaną
Zasłonię mego szczęścia przyszłość wykochaną!
Chcę dowodów!

Basia.

Przysięgam!

Lidia.

Przysięgom nie wierzę!

Basia.

Nad twojém zaślepieniem żal litośny bierze!

Lidia *(na stronie z radością).*

Ona nie ma dowodów.

Basia.

Przysięgam na Boga!

Lidia.

Dowodów!

Basia.

Moja Lidio, moja siostro droga!
Przysięgam ci na święte imię mojéj matki!

Lidia *(zmienionym głosem).*

Na imię twojéj matki?! Myśli mych ostatki
Opuszczają mię! Boże! wesprzyj mię natchnie-
(niem!
Szczęście moje zachodzi strasznéj nocy cieniem!
Niż tak cierpieć, wolałabym nie żyć!...

(gwałtownie)

Nie! nie! nie! Bez dowodów nie będę ci wierzyć!

Basia *(chwilę waha się, później chwyta Lidią za rękę).*

Dam dowód, który prawdę słów moich wykrywa!

Lidia *(bojaźliwie).*

Dasz dowód?

Basia.

Tu, i wkrótce!

Lidia *(z rozpaczą).*

O! ja nieszczęśliwa!

(Zakrywa twarz rękami, i płacząc wychodzi.)

Scena 3.

Basia *(sama).*

Basia *(patrząc ze złością za odchodzącą Lidią).*

No, proszę? Czy widziano, aby takie dziecię,
Co dotąd tylko żyło w lalek swoich świecie;
Aby ta pensyonarka, na takie bezdroże,
Mnie, mnie, zaprowadziła!?

(po chwili milczenia)

Lecz nic nie pomoże!
Dopnę swego, dokażę!

(zamyśla się)

Gdzież dowód odgrzebię?
Zkąd wezmę, jak utworzę: próżno pytam siebie.

(przechadza się gwałtownie wzruszona)

Przytomności tu trzeba, bo nic się nie uda!
Ze stryjem, jak bez niego! On myśli, to fraszki!
Niechnoby poprobował!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TAITI.

(Z pism Jakóba Arago.)

Witam cię trzykroć piękna zielona altano, co się wznosisz na widokręgu i zwierciedlisz w przezroczystych falach jasnego morza!

Witam cię trzykroć, cudna wyspo, którą prawie równocześnie odkryli Bougainville i Cook, otwierając nieprzewidziane pole badaniom naturalistów.

Witaj mi trzykroć, Taiti, z kokosowemi drzewy sięgającemi w obłoki, z oddechem napełniającym powietrze nieznaną wonią.

Widzę ją, tę piękną wyspę! zielona u stóp, zielona na szczytach, zielona na pochyłościach; wszędzie bogactwo natury, którém oko nasycić się niemoże, wszędzie powietrze, słońce i powiew zefiru.

Wszystko to opisują mi, a oczy moje przepełniają się łzami. W przeszłości szukam schronienia, by nieuledz rozpaczy.

Najmilsze wspomnienia budzą się w méj piersi, gdy się zbliżam do téj kwiecistéj wyspy, która długie wieki była siedzibą rozkoszy niezamąconych namiętnościami cywilizowanego świata.

W krótkich odstępach czasu odkryli Cook i Bougainville wyspę Taiti. Każdy z nich oceniał inaczéj dzikich mieszkańców tego Archypelagu, a jednak obadwa, każdy ze swego stanowiska, mieli słuszność. Wręcz przeciwne charaktery obydwóch sławnych, tłumaczą tę różnicę w ich zdaniach. Cook był porywczy i gwałtowny, kary, które wymierzał, były zawsze srogie; z nieugiętą surowością karcił każde przestępstwo krajowców tak, że w końcu przyszło do krwawéj rzezi na wyspie Owaihi.

Mieszkańcy Otahaiti, jak wtedy nazywano wyspę, podobni byli zupełnie do swych sąsiadów. Co okiem dojźrzeli, tego im się zachciéwało, a co im pod rękę popadło, to zabierali. Przychodzili na okręta i idąc niejako za przyrodzonym popędem, niewiedząc może nawet że w tém co złego, kradli gwoździe, kawałki lin, żelaza i tym podobne rzeczy leżące bądź na pokładzie, bądź między bateryami.

Cook niecierpiał tego i karał złodziejów śmiercią, a ci porwali się wkońcu do broni.

Walka zbyt była nierówna. Zwyciężeni krajowcy przestali obcować z ludźmi, którzy miotali gromem i błyskawicą; pokryli się w lasach, a Cook napisał, że mieszkańcy wysp towarzyskich są nieprzystępni, kłótliwi złodzieje i próżniaki.

Bougainville, były pułkownik kawaleryi, był przeciwnie człowiek zapatrujący się na wszystko z najlepszéj strony; nielubił łez ani u siebie samego ani u bliźnich, majtkom dogadzał więcéj niż sobie, i wszelkiemi siłami unikał przykrych wrażeń.

Gdy zawinął do zatoki Papiti, zastał mieszkańców w największéj trwodze. Piérwszą więc rzeczą jego było dojść przyczyny tego usposobienia. Prawie bez broni wylądował z swemi ludźmi i oddał się niejako w ręce mieszkańców wyspy, co mu natychmiast zjednało całe ich zaufanie.

Nazajutrz przyszli Taitianie na pokład. Przyjęto ich jak braci i obchodzono się z nimi jak z przyjaciołmi. Bougainville obdarzył ich hojnie, dawał im czego tylko zapragli, rozumie się z wyjątkiem rzeczy, bez których sam obejść się niemógł. Łatwo więc pojąć, że historya, którą Bougainville skreślił o swym pobycie w tym Archipelagu, wielce się różni od sprawozdania kapitana Cook, który, jak to mówią, inaczéj na świat się zapatrywał.

Mimowolnie nasuwa się naturalne luboć po dziś dzień jeszcze nie rozstrzygnięte pytanie, jakim sposobem te grupy wyspy zostały zaludnione, i zkąd to pochodzi, że się na nich znajdują dwie zupełnie odrębne rasy ludzi. Tu widzisz czarne odrażające fizyognomie, włosy kręcone i dzikie obyczaje, a tuż obok płeć brunatna albo żółtawa, długi gładki włos, umysł przystępny i ludzki. Tu w wielkiém poszanowaniu najszkaradniejszy zwyczaj, żywienia się ludzkiém mięsem, a tam miłość bliźniego, tańce, gry i rozkosze domowe.

Ta sprzeczność tém bardziéj uderza i zadziwia, że jedno i to samo niebo sklepi się nad temi różnorodnemi ludami, że w jednych kąpią się krynicach, temi samemi owocami się żywią, w tém samém słońcu się grzeją, i na tych samych falach morskich się kołyszą.

Z pomiędzy wszystkich płaskich lub skalistych wysp, które są ozdobą cichego Oceanu, najgodniejszą uwagi i najwięcéj malowniczą jest bez wątpienia ta grupa, któréj kapitan Cook nadał imię wysp towarzyskich. Zacznijmy opowiadanie nasze od chwili, kiedy misyonarze wylądowali na te wyspy dla rozszerzania wiary chrześciańskiéj.

Familia Pomare panowała nad tym Archipelagiem; ród szlachetny, mądry, obrotny i roztropny, który pomimo cytadeli i dział francuskich do dnia dzisiejszego jeszcze się utrzymuje.

W roku 1797 wylądowało w Matasai ośmnastu angielskich misyonarzy i prosili pokornie króla Pomare o mały kawałek ziemi na wybudowanie chaty, o trochę gruntu na założenie ogrodu i o przychylność ludzi, których przyszli nawracać na wiarę chrześcian-

ską. Pomare dał im czego żądali, dodał im pomocników do wybudowania domu i zasadzenia gruntu, ale nieprzyrzekał im nic więcéj.

Piérwszy kapłan krajowy, nazwiskiem Mani Mani, któremu szło o utrzymanie swéj władzy, wezwał Anglików, by osiedli w Morey, a nie w Taiti, dokąd ich Pomare kilkakrotnie i usilnie wzywał. Anglicy przyrzekli że to uczynią, i marzyli już o panowaniu i o władzy rządowéj.

Pomare przeczuwał grożące mu ztąd niebezpieczeństwo; jednak zbyt słaby, by się oprzeć groźbom, które się odzywały około jego słomianego pałacu, oświadczył się otwarcie za Anglikami, i stracił w ten sposób cały swój wpływ na swych poddanych. Syn jego zaledwie dwunastuletni stracił go z tronu.

Arii Rahi panował pod imieniem Pomare II z przydomkiem „Temare Taatano, te Atona,“ t. j. Syn Bogów.

Za jego panowania zbuntował się najmłodszy brat jego będąc gubernatorem w Wapaino, jednym z największych okręgów wyspy. Byłto młodzieniec z najdzwyczajną siłą ducha, który stawił czoło wszystkim niebezpieczeństwom i groził bratu pewnym upadkiem. Tak trwały między nimi kłótnie i niesnaski podniecane jeszcze chytremi zabiegami misyonarzy.

Posiadłości Pomary i jego syna rozciągały się w roku 1797 dwanaście mil wzdłuż wybrzeża; na téj przestrzeni mieszkało cztéry tysiące ośmset krajowców, czyli mniéj więcéj czwarta część całéj ludności wyspy.

Okręt, który Anglików przywiózł był do Taiti, odpłynął znowu na powrót. Misyonarze zostali, ale odjazd okrętu nie zrobił żadnego uszczerbku wpływowi, jaki uzyskali między krajowcami. Jednak gdy Mani Mani wezwał ich pomocy na pokonanie jednego z swych spółzawodników, a Anglicy oświadczyli, że wolą raczéj zostać neutralnymi, wtedy ostygła dawna przyjaźń tak dalece, że misyonarze nieczując sie bezpiecznymi, zmuszeni byli używać palnéj broni.

Piérwszy zamach na misyonarzy został dokonany w marcu 1798. Byli właśnie w drodze do Pomary, by mu przedłożyć swe zażalenia; gdy ich napadli wyspiarze. Z razu chcieli ich potopić, ale w końcu na tém poprzestali, że ich odarli z odzieży i srogo ochłostali, chcąc tym sposobem poniżyć ich w oczach krajowców.

Podczas tych wydarzeń przybył z Europy okręt „Nautilus“, a część misyonarzy widząc że się zanosi na wojnę zabójczą, wsiadła na ten okręt i odpłynęła do Port Jackson.

Ta ucieczka była nietylko nieszczęściem ale i wielkim błędem; dodała bowiem wyspiarzom odwagi do dalszych gwałtów i odsłoniła im zarazem słabość i nieudolność Europejczyków.

Pomare napadł na okręg, gdzie popełniono gwałt na kapłanach angielskich i kazał powiesić dwóch hersztów. Ta nieco opóźniona sprawiedliwość niewstrzymała jednak misyonarzów od emigracyi, przewidywali bowiem straszną zemstę; kilku z nich poszło za przykładem piérwszych jedenastu, którzy uciekli, a dawne obrzędy Kanaka ustaliły się znowu.

Nie długo potem zawinęły dwa angielskie okręta rybołowcze do portu Papiti. Tamare pośpieszył odwiedzić kapitanów, którzy mu w zamian za rozmaite produkta krajowe darowali dwie baryłki prochu.

Tamare powróciwszy z okrętów chciał się przekonać o wartości podarunku, nabił pistolet i dał ognia do jednéj baryłki. Tę nieostrożność przepłacił życiem. Proch bowiem explodował i zabił nietylko jego samego, ale i kilku wiernych jego poddanych. W swéj ciemnocie sądzili wyspiarze, że rybołowcy są sprawcami tego nieszczęścia, i już się gotowali do wyprawy na okręta; ale ostrzeżone zawczasu, umknęły szczęśliwie.

Chociaż strącony z tronu, zebrał jeszcze Pomare I garstkę wiernych, za których pomocą mu się powiodło zamordować uzurpatora i uzyskać znowu władzę udzielną. Zarazem przyrzekł misyonarzom swą szczególną protekcyę.

Rok 1799 był nieszczęśliwy. Jeden z misyonarzy padł ofiarą krytobójstwa, i pomimo wszelkich środków jakich użył Pomare, umknął zbrodniarz bezkarnie.

W kilka miesięcy później wybudowano w Taiti piérwszą europejską kaplicę. Kanakowie uczęszczali z początku z ciekawości, potem ze zwyczaju na nabożeństwo, a przytem zachęcali ich księża małemi podarunkami, tak iż kaplica wkrótce była za ciasna. Chęć zysku pomnażała ciągle liczbę nawróconych, a że nowa religia niewymagała ofiar materyalnych, przeto zapomniano wkrótce o drewnianych bałwanach krajowych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Główny Redaktor M. Szrzeniawa Sartyni. *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*